

Mowa ojczysta, język — są sprawą najważniejszą dla kultury i jej rozwoju. Książka wyraża kulturę i ją tworzy. Literatura, nauka, sztuka — mają w książce swe najlepsze tworzywo. Książka — niezastąpiony przyjaciel myślącego człowieka. Książka Polska — wspinała towarzysząca w chwilach chwali i w chwilach narodowych tragedii. Książka — wielki nauczyciel ludzkiego postępowania. No cóż, jeszcze ziemia obraca się dookoła słońca. Nie trzeba udowadniać oczywistej prawdy również o książce.

Film, radio, telewizja — lubią wartościową książkę, wszystko wskazuje na to, że dobrą książkę z powodzeniem popularyzują, wbrew opinii sceptyków. Lecz troskę o pozyskiwanie nowych stałych czytelników książki pozostawiam na razie tym wszystkim fachowcom, którzy lepiej znają formy i metody tej walki — w wydawnictwach, w księgarniach, w bibliotekach. Przecież rezultaty są pokaźne w dotychczasowej „rewolucji książki”. Publiczne biblioteki powszechne pozyskały niemal 6 milionów czytelników rocznie, szkolne biblioteki — ponad 6 milionów.

Z wypożyczeń na jednego czytelnika wynika, że zainteresowany książką klient naszych bibliotek — sięga przeciętnie w miesiącu tylko po jedną, czasem po dwie książki. Grupa czytelników, którzy czytają wiele i systematycznie, jest jeszcze stosunkowo niewielka, istnieje poważna liczba ludzi czytających chaotycznie. W bibliotekach publicznych w ogólnej liczbie wypożyczeń zdecydowaną przewagę posiada beletrystyka — ponad 80 procent.

Ale problemem trudniejszym jest — pogłębienie procesu czytania. Mimo wzrostu czytelnictwa, przeciętny poziom obyczajowy i moralności w wielu środowiskach jest żenująco niski. Człowiek w trakcie lektury książek powinien się rozwijać, przecież dokonuje odkryć, angażuje się w dramatyczne losy i przeżycia bohaterów, w problemy etyczne, społeczne książki. A książki czytają ludzie w samotności, wracając do nich, ich

treść nie jest czymś przelotnym, jak audycje radiowe, widowiska teatralne lub telewizyjne. Ale zważywszy, co daje czytelnikowi czytanie w samotności, a o ile więcej może dać uczestniczenie w dyskusji zbiorowej nad przeczytaną książką. Owe właśnie dyskusje dopełniają, wychowują i kształcą, o tym wie dobrze każdy wytrawny nauczyciel języka polskiego, odczuwa w końcu skutki pomyślnie obowiązkowej lektury — pocciwy uczeń. Niestety — front takich dyskusji nie jest ani szeroki, ani burzliwy. Czytelnicy zbyt często pozostawieni są sami sobie w obliczu problemów książki, bezradni, zwłaszcza wobec książki trudniejszej, mimo że kultura czytelnicza podno

Gerard Górnicki

Pomnika nie będzie...

si się znacznie. Dotyczy to nie tylko czytelników wsi i miasteczek, do których ręk niejedna cenna książka nie trafia, ale również młodzieży, w tym też szkolnej, sięgającej po tytuły nie wpisane w wykaz lektur szkolnych.

Kraj nasz pokryty jest siecią świetlic i klubów, ale zakrywa je często mgła firanek, zalewa martwe morze westchnień i marzeń. Wyjątkowo, żywo pracujące grupy entuzjastów dyskusji i rozmów — są wyspami. Pojedyncze dialogi w bibliotekach są częstsze i zapewne pożyteczne. Zbyt często samotny pozostaje czytelnik starszy, mający przecież wiele doświadczeń, znający życie, dotknięty niespokojną dociekliwością. Jesteśmy jeszcze w lesie, w bogatym lesie. Dro

gi dojścia do realizacji trudnego problemu pogłębienia samego procesu czytania mogą być różne. Czytelniczo nie może być żywiołowe, wymaga zabiegów wychowawczych, dydaktycznych, organizacyjnych, wymaga harmonijnego współdziałania — domu, szkoły, biblioteki, księgarni, organizacji społecznych, młodzieżowych, związkowych. Walki o awans kulturalny społeczeństwa nie wygra nikt w pojedynkę.

Tymczasem. Trzeba by wyliczyć grzechy — własne i cudze, na ogół jesteśmy ich świadkami od wielu... lat. Wzajemne pretensje środowisk twórczych, organizacji, szkół, bibliotek, księgarni, klubów — wyrastają ponad dobre przykłady współpracy. Jedno jest pewne: konieczne są zbliżenia, kontakty — autorów książek z nauczycielami, z młodzieżą, z całymi zespołami księgarzy i bibliotekarzy, którzy nie są na dalekich tyłach, lecz w pierwszej linii frontu kulturalnego.

Zapewne każda instytucja kulturalna, szkoła, organizacja — formułuje program działań, rodzą się idee tworzenia kół miłośników książki, aktywnych klubów czytelniczych, musi bowiem powstać wielki plan rozwoju naszej kultury, ma kształtować się jej wyraźny model. Czas wyjść z ogromnego lasu pojęć, postulatów, pretensji, przyrzeczeń — na bardzo rozległe pole działania. Nie wiemy jak wiele rzeczy zrobić. Ludzka rzecz. Potrafimy posługiwać się efektownymi na zwaniach tych koniecznych poczynić, zalatującymi cudzoziemczyzną i to nam nawet dodaje otuchy.

Wiemy jednak dobrze, że jest silna organizacja, zespół mądrych ludzi, która problem czytelnictwa docenia — Wielkopolskie Towarzystwo Kultury. To może oznaczać, że w trudnej sprawie pogłębienia procesu czytania — są nadzieje. W naszym życiu społecznym egzamin z cierpliwości zdaliśmy nieźle, szkoda czasu na dalsze rozmyślanie przy gołeniu, w lesie zbyt często jest przecież chłodno i mrocznie. Chociaż za udaną próbę spełnienia realnych, prostych prawd — pomnika nie będzie. Ludzie tylko będą lepsi.

Mieczysław Skąpski

W PARLAMENCIE

Korespondencja własna z Wielkiej Brytanii

Nagle rozległ się krzyk, że o mało nie podskoczyliśmy i wszyscy odwrócili się w kierunku długiego korytarza. Ukazała się tam właśnie osobliwa procesja. Na czele kroczył facet niosący złotą buławę monstrualnej wielkości, była jak człowiek niewielkiego wzrostu. Za nim kroczył główny aktor tego przedstawienia, można się było domyślać tego po tym, że z ramion spływał mu płaszcz, a właściwie peleryna takiej długości, że dwóch innych uczestników procesji trzymało ją jak welon ślubny. Wszyscy ubrani byli w kolorach czarno-białych, zamiast spodni mieli krótkie płudy do kolan, poniżej białe pończochy, na nogach płytke czarne buciki zapinane na srebrne klamry. Pochód kroczył wolno, majestatycznie, jego uczestnicy zdawali się nie zwracać najmniejszej uwagi na gapiów.

Opowiedziałem tu krótko o tzw. procesji Speakera czyli przewodniczącego Izby Gmin, która stanowi codzienną ceremonię rozpoczynającą obrady. Po procesji udaliśmy się („my”, znaczny grupe polskich dziennikarzy) na herbatkę, którą wydała dla nas brytyjsko-polska grupa Unii Międzyparlamentarnej parlamentu brytyjskiego. Herbatka była oczywiście szalenie mocna (jak nasza esencja) i oczywiście z mlekiem, kanapki były małe jak być powinny i sporządzone z owego angielskiego chleba przypominającego wate, a rozmowy były ogromnie kurtuazyjne, grzecznościowe i ogólnikowe.

Potem nastąpiła część najciekawsza, mianowicie uczestnictwo w obradach. Byłem najpierw z godzinę w Izbie Lordów, potem nieco dłużej w Izbie Gmin. Dzięki uprzejmości naszych gospodarzy dostaliśmy miejsca na galerii prasowej, dostępne tylko dziennikarzom na stałe akredytowanym przy parlamencie. Jest wprawdzie jeszcze w każdej Izbie galeria dla publiczności dostępna każdemu, ale to teoria, bowiem galeria jest niewielka, a chętnych wielu, więc też u wejścia ustawiają się bardzo długie kolejki, sięgające niemal Tamizy. Tą drogą pewnie byśmy na salę obrad nie dotarli.

Obie Izby mają identyczny kształt architektoniczny. Przypominają wawozy, których boczne, pochylone ściany zabudowano ławami (w Izbie Lordów ławy pokryte są czerwona skórą, w Izbie Gmin — zieloną). Na dole pomiędzy ławami stoi stół oraz wysokie krzesło Przewodniczącego, w Izbie Lordów dodatkowo tron królewski. Jak już powiedziałem, Przewodniczący i jego świta są ubrani w stare, tradycyjne stroje i w peruki. Widziałem w tym symbol ciągłości tradycji parlamentarnej, widome nawiązanie do przeszłości, coś w rodzaju obrazowego „byliśmy, jesteśmy, będziemy”.

W Izbie Lordów zaskoczyło mnie zachowanie jej członków. Siedzący na najniższej ławie, naprzeciw stołu, położyli na nim nogi, ponieważ zaś stół stoi dość daleko od ław, musieli się w tym celu zsunąć tak nisko, że właściwie przybrali pozycję leżącą. Wszakże obok stołu musieli ciągle przechodzić lordowie wychodzący z sali bądź wracający na swoje miejsca. Wtedy ci z dolnych ław nie raczyli nawet postawić nóg na podłodze, lecz unosili je w powietrzu i trzymali aż do przejścia owych przechodzących, potem z godnością opuszczali nogi ponownie na stół. Wielu lordów spało, rozwalając się wygodnie w ławach. A debata toczyła się w ważnych sprawach aktualnego kryzysu gospodarczego. Lordowie przemawiali ze swoich miejsc w ławach, nikt nie czytał z kartki, bowiem w parlamencie brytyjskim z kartki czytać nie wolno, można się jedynie wspomagać jakimiś liczbami czy danymi spisany na kartce, trzeba jednak przemawiać, nie czytać. Izba Lor-

Dokończenie na str. 2

MŁODA PLASTYKA RADZIECKA

Rozmawiamy z malarzem i grafikiem A. Brusilowskim

W początkach grudnia otwarta została w Poznaniu duża wystawa malarstwa i grafiki 16 artystów moskiewskich, eksponowana już w Polsce na XIX Sopotkim Festiwalu Sztuk Plastycznych we wrześniu. Z jednym z autorów tej wystawy malarzem i grafikiem Anatolii Brusilowskim, przedstawicielem mało znanej u nas jeszcze młodej sztuki radzieckiej, rozmawiamy o sprawach tej wystawy i w ogóle o nowych kierunkach w dzisiejszej plastyce radzieckiej. Rozmawiamy po polsku, gdyż Brusilowski świetnie włada naszym językiem. Oczywiście, od razu ciekawi jesteśmy dlaczego?

— W środowisku młodych artystów radzieckich — mówi Brusilowski — Polska cieszy się dużym zainteresowaniem. Czytamy polskie pisma, książki, śledzimy wasze publikacje poświęcone sztuce. Ruch odnowy w sztuce w skali naszego obozu zapoczątkowany został właśnie w Polsce, stąd nasze zaciekanie. Osobiście poznałem język polski właśnie z lektury pism artystycznych i książek. W Polsce jestem jednak po raz pierwszy. Przede mną były tu moje prace na wystawach w Galerii Krzywego Koła w Warszawie, w Elblągu i w Zielonej Górze.

— Co plastycy radzieccy pokazali w Poznaniu? — pytam z kolei malarza. Jakiego najogólniej rzecz biorąc kierunku i nazwiska reprezentuje wasza wystawa?

— W Poznaniu pokazaliśmy ogółem 140 prac, w większości grafiki i rysunki. Malarstwo reprezentowane będzie tylko w skromnym wyborze, co jest jedną z przyczyn, dla których trudno byłoby nazwać tę wystawę całkowicie reprezentatywną dla naszych możliwości artystycznych. Bardzo chcielibyśmy w każdym razie z taką pełną, reprezentacyjną wystawą wystąpić w Polsce w przyszłości. Pokaz nasz nie ma charakteru oficjalnego, każdy z twórców reprezentuje na nim tylko siebie. Wystawcy, którzy wezmą udział w poznańskiej wystawie, nie stanowią też żadnej określonej grupy artystycznej. Będzie to więc raczej pokaz dobrego poszczególnych indywidualności w młodej plastyce radzieckiej, poszukiwacach nowych form, eksperymentów, doświadczeń. Wśród autorów wystawy wymienić można by przede wszystkim nazwisko Ernesta Niezłomnego — którego pracownia jest obecnie Mekką młodych ma-

W 24 rocznicę zamachu na Café Club

Jest rok 1942. Trwa wojna i okupacja. Co dzień, co krok uderza w nas przemoc i okrucieństwo. Dokoła szaleje nienawiść i triumfujący faszyzm w swym najhaniebniejszym wcieleniu.

W tym czasie każda akcja zbrojna walczącej podziemia miała najgłębszy sens moralny. Była tym co pozwalało przetrwać, odnajdywać sens istnienia. Walka sprawiała, że bestialstwa hitlerowskie w odczuciu umęczonego społeczeństwa przestawały być bezkarne. Gdy usłowoano naród złać terrorem, zmusić do zaniechania wszelkiego oporu, rzucić na kolana — walka stanowiła jedyną odpowiedź i jedyną, oczyszczającą formę przywrócenia samemu sobie godności. Trzeba było aby „gwałt się gwałtem odciskał”.

Owe ciężkiej jesieni 1942 roku walczące podziemie stawiało właściwie swoje pierwsze kroki. 7 października zuchwała akcja bojówek Związku Walki Zbrojnej sparaliżowała na kilkanaście godzin warszawski węzeł kolejowy. Akcja ta nosiła kryptonim „Wieniec” albo — wieniec dokoła Warszawy wysadzonego z stały tor kolejowy. Był to dotkliwy cios w hitlerowski transport wojenny.

Okupant odpowiedział terrorem. W stolicy i w okolicy, na Pelcowiznie, Woli, w Markach, Aninie i Rembertowie wzniesiono szubienice. Wywleczono z cel Pawiała pięć dziesięciu więźniów i powieszono ich publicznie. Czterdziestu jeden potajemnie rozstrzelano. Ofiarą padli w większości członkowie młodej wówczas, bo niespełna rok liczącej Polskiej Partii Robotniczej oraz ludzie lewicy i bojownicy ZWZ.

Zbrodnia wstrząsnęła miastem. Pragnienie odwetu stało się powszechnym nakazem sumienia.

Nazajutrz zapadło postanowienie. Podjął je Sztab Główny Gwardii Ludowej. Dokonanie akcji odwetowej zlecone zostało nam — warszawskim gwardzistom. Uderzenie nastąpić musiało szybko. Przygotowaniami i opracowaniem planu zajęli się „Wiktor” — Jan Strzeszewski, Zdecydowano, że o jednej godzinie na trzy punkty uderzą trzy grupy bojowców. Jako cele wybrano: „Mitropę” — restaurację „nur fuer Deutsche” na Dworcu Głównym, drukarnię faszystowskiej gadzinówki — „Nowego Kuriera Warszawskiego” oraz ekskluzywny lokal dla hitlerowców — „Café Club”. Pierwszą z grup dowodzić miał „Wiktor” — drugą „Młot” Mieczysław Ferszt, a trzecią „Suchy” — Roman Bogucki. W tej ostatniej znalazłem się obok „Olka” — Tadeusza Findzińskiego.

Zaden z trzech dowodzących tą pierwszą akcją odwetową w War-

szawie nie przeżył okupacji: wszyscy zginęli z rąk wroga. Z uczestników owej akcji żyją tylko: Janusz Zarzycki — „Wojtek” (kierował wówczas ochroną zamachu na „Mitropę”), Tadeusz Findziński i ja — „Felek”...

I oto cofną się nam o owe dwadzieścia cztery lata do pamiętnego dnia, do 24 października 1942.

Akcję wyznaczono na godzinę 19, ale Roman kazał się nam stawić w umówionym miejscu dwie godziny wcześniej. Był — jak zawsze — punktualny. Mieliśmy się zapoznać z terenem akcji. Ruszyliśmy z wolna Nowym Światem w stronę Alei. Wieczór zapadał zimny i wilgotny. Przechodnie mijali nas szybko, zbieżni i skuleni. Przegnający nastrój ulicy nie udzielał się nam. Powodowała nami chęć czynu, sprawiedliwy gniew, poczucie siły. Chociaż prawdę powiedziawszy, mizerna była ta siła uderzeniowa: dwa

J. T. Duracz („Felek”)

WARSZAWSKI ODWET

Wspomnienie uczestnika

pistolety, parabellum Romana, mój mauzer oraz nagan Olka — zabytek raczej niż broń bojowa. Do mojego mauzera miałem tylko trzy naboje. Wiązka granatów, czyli nasza „bomba” i pojedynczy granat ebonitowy dopełniały uzbrojenia.

Nie traciłmy jednak kontensu. Nawet wówczas, gdy nasze rozpoznanie wypadło niepomyślnie. Skrzyżowanie Alei Jerozolimskich z Nowym Światem, gdzie mieścił się „Café Club”, było i wówczas jednym z najruchliwszych punktów Warszawy. Nieopodal, na Smolnej stacji znajdowały oddziały SS i lotników, a w Alejach rozstawione były posterunki żandarmerii i granatowej policji. Na samym narożniku, po stronie „Café Clubu” sterczał żandarm pilnujący ruchu.

Roman ustalił trasę odwrotu: Alejami w kierunku Brackiej. Próba bliższego rekonesansu nie powiodła się nam: do lokalu nie wpuszczono. Portier zatarasował drogę, wskazując wymownie wywieszkę z napisem: „Żebrawom i domokrażcom wstęp wzbroniony”. Wyglądem niedwuznacznie różnił się od okupacyjnych bywalców tego lokalu.

W tej sytuacji trzeba było atakować z zewnątrz. Mieliśmy do wyboru szereg okien z grubego szkła, przesłoniętych ciężkimi kotarami. Tylko w jednym z nich prześwitywała smułka światła...

„Już pora. Olek, który nas ubezpieczał, przeszedł na drugą stronę ulicy. My — z Romanem do bramy sąsiadującej z „Café Clubem”, aby odbezpieczyć granat, który spowoduje wybuch całej wiązki. W ostatniej chwili zwracam się do niego z prośbą aby mi pozwolił rzucić. Spojrzał na mnie, jak gdyby się wahał, a następnie wręczył mi granaty: — Masz, szczeniaku — powiedział — ucz się...”

Kiedy wyciągnąłem zawleczkę, poinstruował mnie sucho:

— Gdzie masz trafić — wiesz, pamiętaj jednak, że granat wybucha w trzy sekundy po puszczeniu łyżeczki. Trzeba go dwie sekundy przetrzymać — to uniemożliwi ewentualne odrzucenie wiązki. Jak puścisz łyżeczkę odlicz w myśli: 121—122 i rzucaj!”

Wyszliśmy z bramy, Roman nieco w tyle. Zbliżyłem się do okien „Café Clubu” — puszczałem łyżkę granatu... 121—122 — to już! Rzucaj! Huk, błysk, jęki. Przyskakują do mnie żandarmi — skąd się tutaj wzięli? Siegam po pistolet ale nie zdążyłem zrobić z niego użytku bo padł strzał — to Roman, niezawodny towarzysz i doskonały strzelec — kładzie jednego z napastników. Pozostali panicznie rzucają się na ziemię!

Skaczę na jezdnię. Dopadłem Olka. Biegniemy co siły. W myśli pulsuje mi: „Udało się — udało się...” Z daleka dobiegają odgłosy strzałów.

Wycofaliśmy się pomyślnie. Roman, jak się okazało, pobił w kierunku przeciwnym od ustalonego i ostrzeliwując się ściągnął na siebie pościg. Na szczęście udało mu się zmylić pogoń.

Powiodło się nam i pozostałym grupom. Warszawa doczekała się swojego odwetu. Cios był celny. Hitlerowcy zaprzestali chwilowo krwawych represji. Zadowolili się przesunięciem godziny policyjnej i nałożeniem milionowej kontrybucji.

W Warszawie powiadano wówczas, że takie zlotówki kontrybucyjne ludzie gotowi są płacić co tydzień, byle za tę cenę można było dawać podobne odprawy znenawidzonemu okupantowi.

Warto przypomnieć, że kontrybucję tę Gwardia Ludowa odebrała szybko w brawurowym wypadzie na bank KKO. W ten sposób paradoksalnie wojenny zrządził, że ów milion kontrybucyjny posłużył ostatecznie nam na cele walki zbrojnej z tymi, którzy go ścigali z ludności.

MŁODA PLASTYKA RADZIECKA

Dokończenie ze str. 1

larzy. Jest to znany już w świecie wybitny rzeźbiarz, mający poza sobą wystawy zagraniczne w Anglii, Austrii, Jugosławii. Znany i wybitnymi twórcami są też Sobolew, Jankilewski, Grobman, Sooster. Kilku autorów tej wystawy odniosło znaczne sukcesy we Włoszech na wystawie zatytułowanej: „Alternativa Attuali”.

— Co różni nurt młodej plastyki radzieckiej od znanej nam z ostatnich pokazów realistycznej sztuki radzieckiej. W jakim obrębie się kręgi odbiorców i sympatyków — pytamy na zakończenie malarza.

— U nas plastycy nie lubią podziałów na kierunki formalne.

Nie wiemy właściwie, do jakiego kierunku się zaliczamy. Chodzi nam przede wszystkim o treść, o wyrażanie obrazami ważnych spraw, myśli i uczuć współczesnego człowieka. Przede wszystkim jesteśmy humanistami, dopiero potem rzemieślnikami. Nie chcemy też ulegać kanonom i schematom, chcemy wyrażać świat w sposób własny, indywidualny. Pytacie o środowisko, w jakim się obracamy. Tworzą je malarze, poeci i uczeni — fizycy, matematycy i cybernetycy z Instytutu im. Kurczatowa. Wystawiamy najczęściej w klubach naukowców. Bliskie związki łączą nas ze znanymi zapewne i w Polsce poetami Aksionowem, Jewtuszenką czy Wozniesińskim. W naszym przekonaniu, tworzymy tę grupę artystów, która mówi o ciążości kultury rosyjskiej i radzieckiej i jest pośredem między współczesnością a awangardą lat dwudziestych.

Rozmawiał:

OLGIERD BŁAŻEWICZ

zawsze co najmniej kilkanaście minut, ale „za to” taka przerwa i konieczność oderwania się od swojej grupy, skutecznie studzi — jak twierdzą Anglicy — temperamenty i ochładza gorące głowy.

Dokończenie ze str. 1

dów była dość zapełniona, choć sporo miejsc było pustych. W Izbie Gmin zaś na sali było wszystkich kilkunastu posłów. A więc pustki na sali, przy jednoczesnym braku miejsc?

Trzeba bowiem wiedzieć, że w Izbie Gmin zaledwie dwie trzecie posłów ma miejsce na sali. Po prostu miejsc jest za mało. W Izbie Lordów sytuacja jest jeszcze gorsza, z tym że tam nigdy nie zbiera się cała Izba. Lordowie spędzają czas raczej za granicą lub w swoich posiadłościach wiejskich, niż w nudnym parlamencie, gdzie i tak niewiele znaczą. Izba Lordów, jak wiadomo, jest jedynie reliktem wielkiej przeszłości, nie ma ona żadnego znaczenia w życiu politycznym Wielkiej Brytanii. Jej jedynym uprawnieniem jest wstrzymanie ustawy przyjętej przez Izbę Gmin. Gdy jednak ta ostatnia uchwali ją ponownie, lordowie nie mogą już nic więcej zrobić. Natomiast w Izbie Gmin miejsca na sali mają duże znaczenie, tu przecież zapadają ważne postanowienia, które trzeba przegłosować, tu waga się niekiedy (lecz bardzo rzadko) losy rządu.

Cóż się wówczas dzieje? No cóż, posłowie stoją w przejściach i czekają na swoją kolej do głosowania, by wyjść z sali. W Anglii bowiem głosuje się w parlamencie nie podnoszeniem ręki bądź powstaniem jak w innych parlamentach europejskich, lecz przez wyjście z sali jednym z dwóch korytarzy. Przy wyjściu liczy się wychodzących. Takie głosowanie trwa dość długo,

Nie zmienia to jednak faktu, że obrady brytyjskiego parlamentu są przewlekłe i nudne. Przywódca labourystowski Bevan nazwał je przed laty „niekończącymi się godzinami bezgranicznej nudy”, a był to człowiek, który znał się co nieco na tym. On właśnie chciał dokonać jakichś zmian, między innymi chciał wprowadzić na salę telewizję. Nie udało mu się i do dziś ani tv, ani

Pozycja ukazuje się w nakładzie 10 tysięcy, zatem odpowiedzialnym przeciętnemu nakładowi nowych pozycji prozatorskich. To bardzo dobrze, gdyż bowiem wiedzę związaną z kulturą z czasem klasycznym jest bardzo wielki. Mówię o pierwszej w języku polskim edycji „Historii cesarstwa rzymskiego”, mieszczącej żywoty cesarzy od Hadriana do Numeriana, w przekładzie, z przedmową i przypisami Hanny Szelest. Sam tytuł nie jest oryginalny, ale uświęcony już tradycją. Po Swetoniuszu i jego „Żywotach Cezarów” ten właśnie zbiór trzydziestu biografii wprowadza najpełniej w rzymską myśl polityczną i religijną. Tekst stanowi interesującą lekturę, nie tylko dla fachowców. Teksty, nie równe w poziomie, czyta się lekko, narzut faktów i ocen nie przytłacza bogatej anegdotycznej warstwy dzieła, suma zaś wynoszonej wiedzy o tak istotnych dla Rzymu latach, jak 117—284 n. e. jest ogromna.

Barażo późno trafia do rąk czytelnika polskiego głośna na zachodzie powieść Eliasa Canetiego „Auto da fè”, autora stawianego obok Kafki, Musila i Tomasza Manna. Już samo to zestawienie nazwisk w jakimś stopniu określa książkę Canetiego, napisaną w r. 1931, ale zdobywającą zasłużony rozgłos dopiero w blisko trzydziście lat później, zwłaszcza w kręgu językowym niemieckim. Dziwna, osobliwa, trudna, zarazem urzekająca to książka, pisana przez człowieka, który z przodków w dalekich pokoleniach wywodził się z kręgu hiszpańskiego, który potem wszedł w krąg niemiecki, a po emigracji z Wied-

nia osiadł na stałe w Londynie. Książka, z pasją sondująca problematykę społeczną, stosunek wzajemny jednostki do mas, przeobrażająca się w na pół wizyjny, nierealny obrazach w jakąś demoniczną alegorię, jest za razem bardzo czytelna, stając się symbolicznym przedstawieniem losu. Ludzie poddani instynktom, rządzeni urazami, fobiami, neurozami, są zarazem aż drastycznie realni. Czołowa zaś postać prof. Kiena, zamkniętego w swojej „ojczyźnie” — bibliotece, w oderwaniu i odseparowaniu od świata, poprzez wizerunek zmarnowanego

Eugeniusz Paukszt

„Czytelnikowskie” bestsellery

go życia, nader ostro podkreśla społeczny akcent utworu, walkę z czasem i określającym go absurdem. Przekładu dokonała Edyta Śicińska, nader zaś interesującym postawieniem opatrzył ją Roman Karst.

Po długiej przerwie ukazało się nowe wydanie ważkiej powieści Adama Ważyka „Epizod”, w biografii pisarskiej tego autora na pewno zajmującej istotniejsze miejsce niż „Mity rodzinne”. Zwała szał dziś, w okresie rewizji sądów odnoszących się do dwudziestolecia międzywojennego, ta książka zdaje się nabierać wagi pewnego dokumentu w każdym bądź razie w odniesieniu do podstaw reprezentowanych przez określone środowiska. Tematem tego ukazanego nader skromny-

mi, lecz sugestywnymi środkami fragmentu życia są lata 1924—25, lata formowania się określonych postaw społecznych i politycznych. I dopiero na to szerokie tło rzucono jest sprawa Albina, stanowiącego, jak można się domyślać, alter ego autora.

Z literatury węgierskiej Gyula Illyes, znany nam już z powieści „Lud pusztą”, raczy nas obecnie mikropowieścią „Obiad w pałacu”, żarliwym ale szczerym studium społeczno-psychologicznym, ukazującym powikłania, — ale i rozwiązywanie ich przez sam bieg życia, — zachodzące w układach społeczno-pochodzeniowych dzisiejszej społeczności węgierskiej. Bardzo chciałbym tę książkę polecić czytelnikowi. Pisana jest zwieżym stylem, obrazy kreślone są na przemian to kilku grubymi to znów bardzo subtelnymi kreskami, we wnioskach zaś całość prowadzi do przekonujących tezy, iż najgorszym wyjściem jest szukanie generalizujących uproszczeń zwłaszcza w sprawach tak delikatnych jak splot stosunków międzyludzkich.

Dla zbieraczy nowej, pięknej edycji dzieł Stefana Żeromskiego informacja o ukazaniu się dwu tomów. Pierwszy mieści „Dzieje grzechu”, drugi „Ponad śnieg białym się stanę” i „Uciekła mi przepióreczka”. Pierwszy w 30 tys. egz., drugi w 10. I tu pytanie, że skoro jest to edycja zbiorowa, w jakiej racji te różnice w nakładzie? A potem znów zaczyna się wędrówka zawiedzionych zbieraczy po księgarniach.

Z KSIĄŻKĄ NA TY

Norwid „dotąd nie poznany”

W PIW-owskiej „Bibliotece Poezji i Prozy” ukazały się pierwsze dwa tomy pełnego 14-tomowego wydania dzieł Cypriana Norwida w opracowaniu najwybitniejszego znawcy twórczości tego poety Juliusza W. Gomulickiego. Tom pierwszy obejmuje całość twórczości lirycznej (370 utworów) Norwida, drugi — komentarz, bibliografię, chronologię. Następnymi dwoma tomami zawierającymi „Poematy” oraz komentarz ukazać się w przyszłym roku.

— Praca nad pełnym krytycznym wydaniem dzieł Norwida zajmuje się od 1959 r., ale w ogóle nad jego twórczością pracuję od lat przeszło 30 — mówi Juliusz W. Gomulicki. — To miłość do wielkiego, dopiero odkrywanego przez szersze kręgi czytelników poety otrzymałem w spadku po moim ojcu, Wiktorze Gomulickim, który był pierwszym odkrywcą Norwida, ogłaszając — prawie 70 lat temu — że jest to „wielki poeta, ani za życia, ani dotąd nie poznany”. Po moim ojcu i po Zenonie Przesmyckim — Miriamie jestem trzecim badaczem, który zajął się spuścizną Norwida. Moja pierwsza praca o wielkim poecie, z którego twórczością stykałem się od dzieciństwa, ukazała się w 1935 r. Od tamtego czasu ogłosiłem ponad 100 prac o Norwidzie. Odnalazłem ponad 130 nieznanych tekstów — listów, wierszy i ciągłe podziwiałem się nowym odkryciom. Wiele tych znalezisk zostało już opublikowanych, m. in. listy „Do pani na Korczewie” i nieznana komedia „Hrabina Palmyra” oraz wiele wierszy. Jestem przekonany, że pełne wydanie dzieł Norwida pobudzi wszystkich posiadających nieznane teksty poety do ujawnienia ich.

Wokół osoby Norwida krąży wiele legend i mitów wyrosłych z nieznajomości lub niezrozumienia poety, którego poezja wyprzedzała całą twórczość europejską. Niezrozumiały i nieoceniony za życia, dopiero teraz budzi coraz żywsze zainteresowanie. Studia o nim ukazują się w różnych czasopiśmie naukowych i popularnych. Jego sztuki wystawiają nasze teatry. Wielki, zapoznany poeta coraz częściej przemawia do nas i wierzę, że naszemu pokoleniu uda się wprowadzić Norwida do literatury światowej.

Juliusz W. Gomulicki, autor „Wprowadzenia do biografii Norwida”, pierwszego zestawienia faktów z życia i twórczości poety, posiada bogaty zbiór norwidianów. Gromadzi je od 1946 r. Są tu autografy, rysunki, ryciny Norwida, prawie wszystkie pierwodruki, fotokopie, fotografie, książki (jedyna ocalała) z biblioteki Norwida z jego podpisem, setki wycinków. Przed paru dniami odnalazł J. W. Gomulicki bardzo piękny, nieznany nekrolog Norwida. W posiadaniu badacza jest jedyny ocalały odpis dwóch pięknych wierszy Norwida — „Moja ojczyzna” i „Sfinks”.

Obok pracy nad pełnym krytycznym wydaniem dzieł Norwida, J. W. Gomulicki przygotowuje również wydania poszczególnych utworów poety. (PAP)

jakikolwiek fotograf nie ma wstępu do Izby. Na żadne zmiany, nie mówiąc już o reformach parlamentu czy przestarzałej ordynacji wyborczej, się nie zanosi. W tej ostatniej sprawie przypomnijmy, że w Wielkiej Brytanii do dziś zachowały się okręgi jednomandatowe. W rezultacie może się zdarzyć, iż partia choć ma olbrzymią liczbę zwolenników w całym kraju nie otrzyma żadnego miejsca w parlamencie, gdyż nie wygrała wyborów w żadnym konkretnym okręgu wyborczym. Parlament jako całość traci znaczenie, ważniejsze decyzje zapadają w gabinecie bądź w egzekutywie opozycji, szare masy członkowskie mogą na ogół jedynie głosować za polityką swoich liderów, nie orientując się zbytnio w motywach podejmowanych decyzji, ani w polityce na dalszą przyszłość.

Oprawa tej ciekawej wizyty — myślę o Pałacu Westminsterskim, gdzie mieszczą się obie Izby — wspaniała. Architektonicznie parlament położony w starym centrum Londynu nad Tamizą robi kolosalne wrażenie. Jego część mieszcząca Izby Gmin została całkowicie zniszczona niemieckim bombardowaniem. Odbudowano ją z ruin. Ale liczby miejsc na sali nie zwiększono.

MIECZYSLAW SKAPSKI

Przeglądamy Prasę

10 LAT

minęło od pamiętnego VIII Plenum Komitetu Centralnego PZPR, które dokonało ważnego zwrotu w polityce partii i państwa, otwierając nową kartę w rozwoju Polski Ludowej. „Polityka” poświęca ocenie dorobku ostatnich dziesięciu lat artykuł redakcyjny, w którym omawia: pierwsze poważniejsze próby rewizji ówczesnej polityki podjęte już w 1954 r., warunki dojrzewania przelomu październikowego; zmiany, które dokonały się w 10-leciu w zakresie stabilizacji sytuacji żywnościowej, naszej pozycji na rynkach światowych, polityki w dziedzinie stopy życiowej oraz w planowaniu i zarządzaniu.

PRACA OBOWIĄZKIEM PRAWNYM!

Praca jest u nas — według Konstytucji — prawem i społecznym obowiązkiem obywateli. „Prawo i Życie” dwukrotnie już wysuwało postulat, by pracę w odniesieniu do ludzi młodych uczynić obowiązkiem prawnym.

Chodzi o to, by nie było w naszym kraju złotych młodzieńców i dziewcząt wstających co rano bez celu. Pożyteczne zajęcie, nauka lub praca niewątpliwie mają wpływ wychowawczy na tych, którzy tego potrzebują. Skoro więc młody chłopiec po ukończeniu szkoły podstawowej nie zamierza uczyć się dalej, powinien zostać zatrudniony przymusowo, oczywiście z pełnym poszanowaniem wszystkich przywilejów, które prawo nasze gwarantuje młodocianym. Taki był postulat „Prawa i Życia”. W dyskusjach uznano propozycję za szlachetną, ale nierealną. Czy rzeczywiście? Na to pytanie starał się znaleźć odpowiedź Tadeusz Kucharski, który odpowiedział ochotniczo hufce pracy w województwach: opolskim i katowickim. Fakty, które przedstawia w swoim artykule, zdają się świadczyć, że postulat „Prawa i Życia” może być realny. Właśnie w hufcach pracy — zdaniem autora — znaleźć się powinni młodzieńcy, którzy nie uczą się i nie pracują. Skoro bowiem jedni mogą pracować w nich dobrowolnie i ku własnemu zadowoleniu, to mogą i inni, choćby mniej ochotniczo lecz ku zadowoleniu społeczeństwa.

DALEKA DROGA DO SZKOŁY

Spośród prawie 1,5 mln uczniów ponad 820 tys. (55 proc.) ma swoje stałe miejsce zamieszkania w innych miejscowościach niż siedziby szkoły. Dziesiątki tysięcy młodych wędrują co dzień do szkół, przemierzając nieraz sporo kilometrów. Ponad 460 tys. uczniów (to ci, którzy nie mieszkają w internatach, ahi na stacjach) przebywa drogę do szkoły pieszo, rowerem, autobusem, koleją. Tylko do Poznania dojeżdża codziennie 6 700 uczniów. Sprawy te porusza K. Wojciechowski w „Głosie Nauczycielskim”, nawołując do ustalenia środ-

ków zaradczych przeciwko ujemnym zjawiskom towarzyszącym masowemu dojazdowi do szkół, złym warunkom w oczekiwaniu na pociąg czy autobus, marnowaniu czasu. Tygodnik zamierza udostępnić swoje łamy dla upowszechnienia najlepszych doświadczeń, osiągniętych już w niektórych województwach i powiatach.

NAGRODA ZA... NADUŻYCIA

Kierownik restauracji czy sklepu, w których wykryto nadużycia nie rzadko jeszcze karany jest przeniesieniem na „równorzędne lub nawet bardziej odpowiedzialne stanowisko. Przykłady cytuje Wiesław Wernic w artykule zamieszczonym w „Tygodniku Demokratycznym”.

Autor nawołuje do podjęcia specjalnej akcji przeciw kierownikom zakładów pracy, którzy bagatelizują lub wręcz zniekształcają w praktyce zalecenia organów kontrolnych. Przy okazji zaś ujawnia mniej znane opinie publicznej fakty prowadzenia przez niektórych kierowników zakładów dwóch i więcej ksiąg życzeń i zażeń; jedne z nich bez wpisów lub z preparowanymi wpisami pochwalebnie okazywane są kontrolującym, inne — odpowiednio przechowywane — przedstawiane żalącym się interesantom...

Poza tym „Polityka” przynosi obszerny wybór wypowiedzi na Kongresie Kultury Polskiej; nie drukuje pełnych przemówień lecz pogrupowane tematycznie fragmenty. W „Kulturze” Bohdan Czeszko

zabiera głos w sprawie złej jakości produkowanych u nas płyt gramofonowych i sprzętu do ich odtwarzania (artykuł „Pieczona złota kaczka”). W tym samym tygodniku Krystian Brodacki pisze o problemach związanych z wydawaniem książek i ich sprzedażą (artykuł „Brawdziwy Dom Książki”). W „Życiu Literackim” Barbara Seidler w artykule „Kto jest psychicznie chory?” omawia problem działalności psychiatrów w charakterze biegłych sądowych. W „Życiu Gospodarczym” Barbara Wiśniewska stara się znaleźć odpowiedź na pytanie jakie są powody kłopotów na rynku mobilarskim. „Wiatrak” — dodatek do „Faktów i Myśli” — przynosi artykuły poświęcone literaturze jugosłowiańskiej i twórcy pi sarzy jugosłowiańskich. „Szpilki” głoszą hasło tygodnia: „Nie staraj się za wszelką cenę do równać tym, których przewyższasz! Zaś „Express Wieczorny” z okazji Dnia Łącznościowa publikuje reprodukcję obok rysunek Gwidona Miklaszewskiego z następującym podpisem:

— Halo! Czy to Pocztę? Halo — halo! Nie przerywać — chcę Wam złożyć życzenia — halo! Kto tam? Proszę się wyłączyć — Halo! Pocztę? — Tak — życzenia z okazji — halo! — z okazji „Dnia Łącznościowa”!!!

LEKTOR